

## **Michał Kuź: Biden robi krok naprzód**

Niepokoi nastawienie, które określiłbym jako „liberalną demonologię”. Każde ona traktować każde zagrożenie dla liberalnej demokracji jako przejaw jakiegoś kosmicznego zła, które na ziemi bierze się znikąd i pozostaje bez żadnych związków z oczywistymi błędami osób dzierżącymi stery państwa – pisze Michał Kuź w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Dzieje hegemonu. Między WTC a Afganistanem”.

Liberalni komentatorzy często twierdzili, że napinając relacje z tradycyjnymi sojusznikami, Donald Trump postawił amerykańską politykę zagraniczną niemal na skraju przepaści. Teraz widzimy bez wątplenia, jak Joe Biden zrobił z tej pozycji krok do przodu. Wycofanie się z Afganistanu było oczywiście planowane od dawna i uzasadnione licznymi słusznymi względami strategicznymi. Styl jednak, w jakim się owo wycofanie dokonało, to bez mała katastrofa wizerunkowa. W polityce zagranicznej wizerunek to zaś twarda waluta, która przekłada się na realne efekty: zaufanie sojuszników i szacunek adwersarzy. Mało tego, utrata twarzy i podważenie sensu ponaddwudziestoletniego wysiłku zbrojnego będą miały konsekwencje także dla polityki krajowej. Kto wie, czy nie zatruje to amerykańskiej demokracji znacznie bardziej niż rozmaite wybryki poprzedniego gospodarza Białego Domu.

**Negatyw i pozytyw**

Podczas kampanii wyborczej Joe Biden wielokrotnie wysyłał sygnały, że będzie odwrotnością Trumpa, zwłaszcza jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Faktycznie do pewnego stopnia to się udało. Biden miał wieloletnie doświadczenie i zapewne jak najlepsze intencje, by naprawić obiektywne błędy poprzednika: skupić się na Chinach, odbudować relacje z Niemcami i Francją, zamknąć niepotrzebne drogie operacje. Trump tymczasem, jeśli wierzyć relacjom jego sztabu, pchany był do zwycięstwa wyborczego raczej mało szczytnymi pobudkami, nie miał też żadnego doświadczenia politycznego. Mimo to, udawało mu się unikać spektakularnych katastrof. Jego polityka chińska i rosyjska miała nawet swoje mocne strony, zwłaszcza z punktu widzenia Warszawy.

*Już od jakiego czasu wiadomo było, że po zlikwidowaniu Al-Kaidy obecność w Afganistanie straciła dalszy sens wojskowy*

To Trump też zapoczątkował, rzecz jasna, wycofywanie się z Afganistanu. Już od jakiego czasu wiadomo było, że po zlikwidowaniu Al-Kaidy obecność w

tym kraju straciła dalszy sens wojskowy, a tzw. *nation building* (budowanie państwowości) zakończył się w wyniku miernym, bo skorumpowany rząd prezydenta Aszrafa Ghaniego ma ograniczone poparcie społeczne. Dalsze potwierdzenie znajduje tu zresztą słynna teza Benjamina Smitha, który badał swego czasu żywotności systemów monopartyjnych (głównie komunistycznych). Okazało się, że tam, gdzie partie komunistyczne były zainstalowane zewnątrz i w dużym stopniu zależały od zewnętrznych zasobów, nie miały one szans na przetrwanie większych politycznych turbulencji – stąd spektakularne załamanie się

systemu zależności od Moskwy w Warszawie, Budapeszcie, Wilnie, Bukareszcie i innych stolicach środkowoeuropejskich w latach 1989-91. Tam natomiast, gdzie partie komunistyczne wyrosły jednak z rodzimego ruchu, w zmienionej formie przetrwały często aż do dzisiaj (np. Kuba, Chiny, Wietnam, Korea Płn.).

Dzisiaj okazuje się, że tę tezę Smitha można rozciągnąć na zainstalowane przez Waszyngton demokracje. Ghani były w tym kontekście swoistym liberalnym odpowiednikiem Bolesława Bieruta, człowiekiem zwyczajnie wyciągniętym z teczki przez okupującą dane terytorium armię, bez sensownego lokalnego umocowania politycznego. Ghani większość swojej edukacji odebrał bowiem w USA, a w latach dziewięćdziesiątych pracował dla ONZ i Banku Światowego. Do Afganistanu przybył zaś dopiero w 2001 w wieku 52 lat, z czego połowę spędził poza krajem. Warto przy tym zaznaczyć, że to oderwanie od afgańskiej rzeczywistości wyraźnie różniło Ghaniego od jego poprzednika Hamida Karzaia, który, choć także prozachodni, był jednak poważanym przywódcą plemiennym, przez całe życie zawodowe związanym z regionem (studiował również w Indiach i przez jakiś czas działał w Pakistanie). Karzai zresztą pozostał z rodziną w zajęętym przez talibów Kabulu, z którego Aszraf Ghani uciekł w niesławie.

W obliczu tak spektakularnego i nagłego załamania się władzy Ghaniego USA stają wobec dwóch scenariuszy. Po pierwsze, mogą podjąć współpracę z reżimem talibów i namawiać koalicję północną wraz z resztkami lojalistów do tego, aby zrobili to samo. Optuje za tym na pewno UE, widać takie podejście dość wyraźnie np. w wypowiedziach Angeli Merkel. Europie Zachodniej zależy bowiem przede wszystkim na tym, aby ograniczyć migracyjny exodus i jest gotowa dogadać w tym celu niemal z każdym. Taki scenariusz będzie

też zapewne na rękę Chinom i Rosji. W regionie spadną z jednej strony wpływy amerykańskie, z drugiej nie powstanie próżnia władzy, która pozwoliłaby afgańskiej odmianie Państwa Islamskiego (PI prowincji Chorasán) na rozwinięcie skrzydeł. Nic dziwnego, że Moskwa i Pekin już szukają sposobów, by ocieplić relacje z talibami. Chiński szef dyplomacji Wang Ji powiedział wręcz swojemu amerykańskiemu odpowiednikowi, że międzynarodowa społeczność powinna wejść w relacje z nowym rządem Afganistanu, a na USA spoczywa odpowiedzialność, by pomóc mu w walce z terroryzmem. Trzeba jednak przy tym pamiętać, że o ile przywódcy Islamskiego Emiratu Afganistanu i Państwo Islamskie prowincji Chorasán walczą ze sobą o władzę, o tyle szeregowi bojownicy i oficerowie dość płynnie zmieniają lojalność wobec tych dwóch bytów.

Drugim rozwiązaniem dla Waszyngtonu jest zerwanie w pewnym momencie współpracy z talibami i udzielenie szerokiego poparcia ugrupowaniom północnym oraz lojalistom. Cel strategiczny byłby w tym przypadku dość niskiej moralnej próby, ale mógłby przynieść USA realne korzyści. Nie można już bowiem mieć nadziei na odbicie całego kraju w przewidywalnej przyszłości bez zaangażowania środków, których USA angażować nie chcą. Można natomiast dążyć do celowej destabilizacji Afganistanu i pogrążenia go w wojnie domowej. W tej sytuacji w kraju nie będą rozprzestrzeniać się wpływy sino-rosyjskie; liczne surowce materialne, jak choćby bardzo bogate złoża litu, nie będą przez nikogo eksploatowane, Afganistan nie stanie się też częścią nowego Jedwabnego Szlaku. Takie działania są jednak obarczone pewnym ryzykiem. W chaosie władzę może przechwycić Państwo Islamskie, a wtedy Afganistan stanie się ponownie rozsądnikiem międzynarodowego terroryzmu, co może z kolei powtórzyć koszmar 11 września i wymusić kolejną drogą operację.

Trudno zawyrokować, która opcja zostanie przez USA ostatecznie wybrana. Styl polityczny Joe Bidena skłania go jednak zapewne, by w pierwszym ruchu spróbować pogodzić się ze stratami i podjąć współpracę z talibami po to, aby móc skupić się na Pacyfiku. Czas jednak pokaże, na ile będzie to trwałe rozwiązanie.

*Dlaczego jeszcze miesiąc przed niesławnym wycofaniem swoich żołnierzy prezydent Biden twierdził, że możliwość przejęcia władzy przez talibów „jest znikoma”?*

Dlaczego teraz konieczne jest porozumienie z talibami tłumaczono opinii publicznej już od jakiegoś czasu, trudniej natomiast jest wytłumaczyć Amerykanom,

dlaczego pozycja dawnego rządu afgańskiego była aż tak słaba. Dlaczego jeszcze miesiąc przed niesławnym wycofaniem swoich żołnierzy prezydent Biden twierdził, że możliwość przejęcia władzy przez talibów „jest znikoma”? Jak to możliwe, że nie poinformowano afgańskich dowódców o dokładnym terminie i szczegółach ewakuacji potężnej bazy lotniczej w Bagram, co doprowadziło do przejęcia pokaźnego arsenału przez talibskich bojowników?

### **Czy leci z nami pilot?**

Zwykle błędy naczelnich zwierzchników sił zbrojnych tłumaczy się syndromem grupowego myślenia (*groupthink*) i błędem konfirmacyjnym (*confirmation bias*). W pierwszym przypadku chodzi o

konformizm grupy mającej pomóc w podjęciu decyzji, zgodzenie się z dominującą opinią. W drugim o zaspokajanie emocjonalnych potrzeb decydenta i dobieraniu informacji tak, aby potwierdzić jego poglądy. Te wytłumaczenia w przypadku metody wycofania z Afganistanu są jednak niewystarczające. Wywiad i dowództwo musiałyby zupełnie nie zdawać sobie sprawy z postępów wojsk talibskich lub celowo przemilczać zupełnie jednoznaczne komunikaty. Stopień, na jakim oświadczenia prezydenta Bidena rozmiękały się z prawdą jeszcze w lipcu i czerwcu, zdaje się być, innymi słowy, zbyt duży, by wytłumaczyć to tylko pewnymi typowymi wypaczeniami. Biden musiałby po prostu nie czytać raportów lądujących na jego biurku i słuchać tylko niektórych doradców, to zaś rodzi pytania o jego decyzyjność, stan zdrowia oraz o osobistą odpowiedzialność sekretarza obrony Lloyda Austina. Do obowiązków Austina należy interweniowanie wtedy, kiedy uważa, że prezydent ma fałszywy obraz sytuacji dotyczącej spraw militarnych.

Dwudziestoletnia operacja w Afganistanie była najdłuższym konfliktem w historii USA. Całe pokolenie oficerów i żołnierzy niejako wyrosło w jej cieniu. Powiedzenie armii, a zwłaszcza dowódców średniego szczebla, którzy byli zaangażowani w działania operacyjne, że ich wysiłek i ofiarność nie miały (przynajmniej od zabicia Bin Ladena w 2011) większego strategicznego sensu, musi wywołać niezadowolenie. Zwracają uwagę szczególnie dwa wydarzenia. 87 emerytowanych generałów podpisało list otwarty wzywający Lloyda Austina i szefa połączonych sztabów generała Marka Milleya do rezygnacji. Na niekorzyść sygnatariuszy zadziałało jednak to, że przedtem podważali również wynik wyborów, który dał zwycięstwo Bidenowi. Jeszcze szerszym echem odbiła się jednak sprawa pułkownika marines Stuarta Schellera. Scheller, który przez całe życie stronił od polityki, 26 sierpnia na swojej stronie facebookowej umieścił nagranie, w którym wytykał dowództwu oraz administracji błędy przy planowaniu ewakuacji i żądał

wzięcia za nie odpowiedzialności. W ciągu jednego dnia śmiały oficer stał się bohaterem mediów społecznościowych. Armia niemal natychmiast zwolniła go z obowiązków i to pomimo tego, że w jego nagraniu nie padały nazwiska ani inwektywy, brak też było wyraźnych deklaracji ideologicznych.

Wszystkie te wydarzenia wydają się niepokojące. Trudno uciec od porównania z Trumpem, którego oskarżano o tworzenie zagrożenia dla amerykańskiej demokracji. Taki ludowy populizm był jednak zjawiskiem okresowo powtarzającym się w historii USA właściwie od samej początków istnienia republiki, nie bez powodu porównywano Trumpa na przykład do Andrew Jacksona (prezydent w latach 1829-1845). Historia wielu innych krajów uczy przy tym, że taki populizm staje się naprawdę groźny dopiero, kiedy łączy się z powszechnym rozgoryczeniem oficerów lub weteranów; ludzi mających zarówno wiele charyzmy, jak i nieprzeciętnych umiejętności, jeśli chodzi o stawianie oporu władzy. Pozostaje mieć nadzieję, że to zagrożenie jest także należycie oceniane przez obecną administrację. Niepokoi jednak nastawienie, które określiłbym jako „liberalną demonologię”. Każde ona traktować każde zagrożenie dla liberalnej demokracji jako przejaw jakiegoś kosmicznego zła, które na ziemi bierze się znikąd i pozostaje bez żadnych związków z oczywistymi błędami osób dzierżącymi stery państwa. W myśl tej teorii niezadowolenie wyborców Trumpa nie ma realnych przyczyn, podobnie jak obecne niezadowolenie niektórych oficerów.

*Michał Kuź*



Ministerstwo  
**Kultury**  
Dziedzictwa  
Narodowego  
**i Sportu.**



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

